



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Stanisław Jachowicz.

Szlachetnych ludzi pamięć przechowywać to nie tylko obowiązek wdzięczności, ale i ubogacenie się społeczeństwa we wzory wiodące drogą życia podniosłą. Stuletnia rocznica urodzin zasłużonego pedagoga, Stanisława Jachowicza, przypadająca w d. 17 kwietnia, przypomina nam tego męża wielkiej zasługi, którego działalność pedagogiczna wywierała wpływ niemały na młode serca i umysły, podnosząc je ku szlachetnym tym ideałom, ku którym młodość gnać się powinna aby poziom jej życia nie stał się niskim. Jachowicz umiał to czynić z wielką prostotą, łagodnością i słodyczą, to też kochano go i przyjmowano wdzięcznie to, co z serca sercom dawał, a działały tu wpływy, które z rodzinnego otoczenia swego wyniósł, gdzie otaczały go najlepsze wzory miłości tego wszystkiego, co człowiek ukochać powinien i z tem uczuciem szczerem miłości bliźniego, nigdy samolubstwem nie przyćmionej, szedł przez życie, przywiązując też do siebie ludzi magnetycznie i wszystko co pisał było tak miłości tej pełne, że brano też do serca to, co z serca dawał.

Urodzony w 1796 r. we wsi Dzikowie, posiadłości rodowej hrabiów Tarnowskich nad Wisłą na przeciwko Sandomierza, otoczony wdzięczną, bogatą naturą, której uroki wcześniej odczuwać umiał, wytwarzał już sobie w piersi tę poetyczność, pełną prostoty i ciepła uczuć, którą zachował przez życie całe. Składały się też na to i wpływy otoczenia rodzinnego. Ojciec jego, plenipotent hr. Tarnowskiego, był człowiekiem wielce uczciwym a obok tego wykształconym, posiadał też talent rymotwórczy, pisał prozą i wierszem po polsku i po łacinie a matka, Dobrzańska z domu, była kobietą wyższe-

go umysłu i serca, z czem łączyła wielką słodycz charakteru i wpływ jej w wychowaniu syna był wielki. Ona to wyrobiła w nim tę uczuciowość tkliwą, która mu kazała ukochać dzieci i podawać miłosierną rękę ubóstwu

Że ojca utracił wcześniej matka ta dobra i rozumna musiała kierować jego wychowaniem, a jak umiała to czynić dowodzi wielkie przywiązanie do niej syna. Wzrastał też w otoczeniu, którego atmosfera była czystą i uczuciową, rozrywki proste i skromne. Oddany w Rzeszowie do szkoły popijarskiej z wykładem niemieckim, przebywał tam dwa lata a do rozwinięcia się w nim poetyczności pomagać mogła otaczająca go natura, której uroki oddziaływały na niego silnie, aż śmierć ojca rzuciła całun żałoby na kochającą się i w tej miłości wzajemnej szczęśliwą rodzinę, którą strata ta silniejszym jeszcze spoila węzłem. Z czasem zbudziło się i inne jeszcze uczucie; miłość dla pokrewnej mu dziewczyny, Ludwisi, jak nazywa ją we wspomnieniach swoich; poezya rozbudziła się też w nim teraz pod gorętszym uderzeniem serca, obok utworów własnych, pełnych uczucia, tłumaczył dużo z autorów obcych i zyskuje już sobie uznanie u ludzi, stojących w opinii ogółu jako znawcy literatury. Uczęszczając na posiedzenia literackie u prof. Jaszowskiego, młody akademik zostaje wybrany na prezesa tych posiedzeń, na których czytano nowo wychodzące książki, a gdy studia uniwersyteckie zostają ukończone, wyjeżdża w 1818 r. do Warszawy, żegnany z gorącym uczuciem żalu przez towarzyszy, a ma już teraz rok dwudziesty drugi i o własnej sile isé mu trzeba przez życie.

Wstępuje też do biura prokuratori i pilny i uczuciem obowiązku silnie przejęty wywiązuje się sumiennie z przeznaczonej mu pracy; w 1819 r. otrzymuje posadę już wyższą, przecież nie czuje się zadowolonym, bo pragnienia jego zwracają się w stronę inną. W biurze poznał się z Brodzińskim, zawiązuje się między nimi węzeł przyjaźni, a on z wolna rozpatruje się w koło siebie i oddaje się

pracy, która mu lepiej przypada do serca: zostaje nauczycielem polskiego języka i wkrótce zyskuje sobie uznanie, zyskuje zatem położenie materialne o tyle dobre, że może zaślubić ukochaną kobietę i wytwarza sobie ognisko domowe, gdzie wszystko jest szczęściem, jest zadowoleniem prawdziwym, ale losy ludzkie na chwiejnej opierają się podstawie.

Młoda małżonka umiera, umiera i dziecina, którą mu dała, synek Dobrosław, a on żyje samotny długich lat osiem, chcąc leczyć przez pracę serce swe zbolale, a jest to praca dla dobra ogółu niesiona. Lecz serce ludzkie potrzebuje podziału uczuć, bo źle jest człowiekowi samemu, żeni się więc raz drugi a związek ten jest szczęśliwszym od pierwszego, bo żona dzieli z nim życie przez lata długie i daje mu dwóch synków, a szczęście to jest jeszcze podniesionem przez uznanie całego społeczeństwa, bo pracuje gorliwie dla jego dobra, pracuje dla przyszłości, kształcąc młode pokolenie i wkładając w tę pracę całą duszę swoją. Zostaje też to uznaniem i odpłaconem nie tylko uznaniem wielkiem, ale i wdzięcznością tkliwą, żaden pisarz najwyższego talentu nie był tak szacowany a wyraz tego uznania wykazuje się w dniu sześćdziesiątej pierwszej rocznicy jego urodzin (17 kwietnia 1857 r.).

Wszystkie stany śpieszyły z wyrażeniem uczuć szacunku i wdzięczności, bo obok literackiej i nauczycielskiej pracy mąż ten szlachetny oddaje się z przejęciem gorącym dziełom dobroczynnym; od 1824 r. w którym to czasie został członkiem Towarzystwa Dobroczynności, poświęca się nie tylko wspieraniu nędzy, która jest głodna i chłodna, ale i tej nędzy ducha, której brakuje światła, aby umiała kierować się drogą życia prostą. Należy on do tej drużyny ludzi zacnych którzy w 1839 r. zapragnęli dać dzieciom ubogich, pracy oddanych rodziców, opiekę broniącą od zepsucia; ochrony utworzone w tym roku, są środkiem dążącym do tego celu a on staje się wtedy nie tylko promotorem tych zakładów, ale następnie przykładą rękę do ich kierowania. Pierwszy przytułek sierot chłopców liczył

ich początkowo dwunastu, ale szlachetne jego serce cierpi nad tem, ponieważ wie on, że po za tem jest ich tylu bez opieki, bez żadnej tej pomocy, która broni od nędzy ducha i ciała, wkrótce też liczba ich wzrasta do 170. Wiczyście fundusze zakładu zwiększają się coraz, a on toruje do tego drogę, jak to można śmiało twierdzić i w 1854 Towarzystwo Dobroczynności posiada ich 23,000 rs.

Obok tego działalność jego jako pisarza pedagogicznego miała znaczenie wielkie, wielkie oddziaływanie na umysły młode. Bajki wywierały na dzieci wpływ dobroczynny, bo umiały przedstawiać cnotę w promieniach świetlnych i nauczać jej—umiały wykazywać obowiązek w wyrazach niewymownie prostych, trafiających do serc i umysłów młodych. Można też śmiało twierdzić, że całe pokolenie dzieci kształciło się na nich i kształcić się będą jeszcze przez lata długie. Ale nie ograniczał on się jedynie do tych powiastek wierszowanych; pisał dla dzieci i rzeczy inne, obdarzył je książką wyborną „Pamiętka dla dobrych dzieci,” zawierającą bajki i powiastki, zdarzenia historyczne a jest takich dziełek jego liczba znaczna. „Rozmowy matki z Józją” przygotowują dzieci do nauki, do gramatyki głównie. „Śpiewy dla dzieci” rzecz wyborna, jest słusznie uznana za najlepszy z utworów Jachowicza a pozostało po nim kilkanaście utworów takich. „Dziennik dla dzieci” obejmujący rok cały, odznacza się tak wdziękiem słowa jak i treścią, rozumnie pedagogiczną, że sędzia niepospolitego znaczenia w literaturze naszej, Chmielowski przyznaje autorowi zasługę niemałą.

Można też śmiało twierdzić, że Jachowicz jest najdoskonalszym z pisarzy naszych dla dzieci, bo szlachetnie czujący i myślący tak też naucza czuć i myśleć pokolenia, że należy mu się wdzięczność ogółu.

Czuje ją każda z jego uczennice, każdy z jego uczniów, bo wzrastając poznawali ile szlachetnych i wzniosłych myśli, ile szlachetnych i wzniosłych uczuć otrzymali za pośrednictwem tej jego nauki dawanej zawsze z prostotą i dobrocią łagodności pełną. Naukowe Towarzystwo krakowskie mianowało Jachowicza w 1856 r. członkiem korespondentem i składano mu ze stron wszystkich hołd uznania za to, że zrozumiał ważność rozbudzenia uczuć szlachetnych już w dziecku i skromnie, cicho spełniał wielką misję posiewu ziarn wiary i miłości w grunt, który miał wydawać owoce dobra i czystego szczęścia. W 1857 r. dobry ten pracownik na niwie naszej odszedł na odpoczynek wiekiasty; zwłoki jego spoczywają na Powązkach, gdzie niejedna sierota klękła modlić się gorąco za niego.

Pol' pisze:

Cześć ci, śpiewaku dobrego posiewu,
Cześć naszych dzieci wierny opiekunie!
Lutnia twa cała jest z bożego krzewu,
Stróżu Anioły grają na twojej strunie!
Ty nam urośniesz jako Tatry rosłą
Kiedy je żegna w oddali wędrowiec,
Boś z dobrej woli od świtu i wiosną
Obsypał kwieciami ciernisty manowiec...
I gdy błądzili inni, tyś nie błądził,
Lecz pracowicie i cicho i skromnie
Dałeś to dziatwie, co Bóg ci przysądził
Mówiąc: „Maluczkie puszcice bracia do mnie.”
I wielkim wzorem Zbawiciela Pana
Garnąłeś dziatwę, jak kokosz pod siebie,
Bo była miłość ci tak wielka dana
Że jest jej cena znana tylko w niebie,
Nam tej miłości ni spłacić, ni sławić,
Ale gdy Bóg cię wśród nas postawił
Nam świętej woli tylko błogosławić
Jakoś ty dziatwie naszej błogosławił...
Boś ty obmyślił dobrze gniazdo nasze,
Nietylko dobrze, lecz owszem najlepiej,
I jako dziatwa chwyta mleczną kaszę
Tak słowo twoje na żywot ją krzepi!

Jak deszcz majowy, oddech bożej rosy,
Jak woń fijołka i wiosną i rano,
Jako skowronek wzbija się w niebiosy,
Z takiej to przedzys dałeś dziatwie wiano.
To też twe pieśni dokoła nas krążą
Jak te gołębie koło gołębnika,
Których skrzydełka raz ku niebu dążą,
To znów do swego wracają kącika
To też twe pieśni brzęczą nam jak pszczołka,
Jako głos dzwonka z wiejskiego kościółka,
Miłe dla serca, jako turkot młynka,
Ciepłe jak światło cichego kominka.

M. I.

POGA WĘDKA.

Nareszcie!

Odetchnąłem szeroko, ale to tak szeroko, jak ów Farys miekiewiczowski, gdy minął wszelkie przeszkody na olbrzymich piaskach Sahary, gdy głazy jeden za drugim skryły się rzędem długim, gdy strwożony sęp wzbił się w przestworze i zniknął powoli w postaci wróbla, motyla, komara a dumny huragan Afryki piaszczystym padł wałem przed nieznanym trwogi jeźdźcem, któremu wszystkie powietrze w Arabistanie zaledwie na oddech stanę; tak i ja odetchnąłem, rozszerzając ramiona i zawołałem:

— Nareszcie!

— Lecz cóż cię taką radością napawa? — pyta mój przyjaciel, z którym najczęściej i najchętniej gawędzić lubię.

— O człowieku, nieświadomy różnych spraw świata! — odezwałem się, litośnie głową kiwając. — Nieprzyjacielu gazet i dzienników, zakamieniały wrogu wszelkiej bibuły pisanej, śledzienniku, znużony jednostajnością życia ludzkiego — i ty mnie pytasz o przyczynę mojego wesela? o przyczynę rozkrzyżowań się moich ramion, któremi chciałbym objąć świat cały i — gdyby można było — w głowę go pocałować? Ty mnie pytasz?

Mój przyjaciel uśmiechnął się dobrodusznie i rzekł:

— No cóż chcesz — pytam —

— Pokój, pokój, powszechny pokój!

— O, o, o — przerwał mój przyjaciel, wskazującym palcem kręcąc, jakby tym ruchem chciał dać do poznania, że mój bzik dostał. — O — o — o!...

— Ależ tak! Państwa wszystkie rozbrajają się, gołębia miłość zapanuje na globie a matki nie będą miały kłopotu z wychowaniem swych dzieci, bo je w tem trudnym zadaniu samo społeczeństwo wyręczy. Wolna miłość, życie bez trosk i pokój powszechny wraz z innymi pięknymi rzeczami już ogadane zostały a wiele z tych postanowień jednomyślnie już zawotowane. Do tych właśnie należy kwestya powszechnego pokoju, ta zmora, niedająca spokojnie spać ludziom, ta sprawa pierwszorzędnej wagi, której dotąd nie zmożły najdzielniejsze dyplomatyczne głowy i wszystkie parlamenty Europy — to ostatnie słowo cywilizacyjnego rozwoju ludzkości, to widmo nęcące a nieuchwytnie... I oto, na posiedzeniu jednego z kongresów postanowiono: pokój powszechny — i basta!

Mówiłem z wielkim ferworem, lecz mój przyjaciel uśmiechał się niedowiarczo, *humkał*, kręcił głową, poruszał brwiami, aż wreszcie z flegmą sobie właściwą zapytał:

— I gdzie to się wszystko stało?

— W Paryżu...

— O!

— Na kongresie.

— El!

— Feministek.

— Al...

— I Feministów — dokończyłem.

— Antychryst się narodził — mruknął mój przyjaciel. — Zebrała się kupa bab i rozbroiła Europę. A cóż na to mówią mocarstwa: Rossya, Włochy, Austria, Niemcy?

— Drapią się w głowę — odpowiedziałem.

Mój przyjaciel uczynił to samo.

— Jakkolwiek nudzi mnie polityka a mizerne sprawy ziemi tej nużą — i mało wiem o tych walnych, niewieściach naradach, musisz mi jednak choć w krótkości objaśnić, co to wszystko jest, do czego zmierza i czy czasami nie zbliża się już koniec tego świata. Lecz, ażeby rzecz całą zrozumiał dokładnie, wytłómacz mi nasamprzód, co oznaczają terminy: feministka i feminist? Proszę tylko ciebie, o określenie zwężę, krótkie a prawdziwe.

— Dobrze — będziesz je miał.

— Słucham tedy.

— Feministka, mój kochany, jest to sobie taka pani, która hołduje idei równouprawnienia kobiet, a feminist, mój kochany, jest to sobie taki pan, który się umizga do feministek.

— Aha!

— Kwestya więc wychowywania dzieci nie przez matki, lecz przez społeczeństwo, jako też zasada wolnej miłości, są nieczem innym — mówiłem...

— Jak tylko wodą na koło panów feministów — dokończył mój przyjaciel.

— Naturalnie —

— I feministki nie poznają się na tem.

Głosząc ideę wyzwolenia kobiet, wiąże sobie petlę wielkiej niewoli, bo z wolnej miłości i przeprowadzonej zasady wychowania dzieci przez społeczeństwo — skorzysta tylko ród feministów. No, ale opowiadaj o tym kongresie i zkad o nim szczegóły czerpiesz?

— Idę za głosem paryżkiego „Figaro.” Na jego odpowiedzialności tedy cięży sumienne przedstawienie rzeczy.

Otóż tedy w d. 8 Kwietnia r. b. otwarty został w Paryżu międzynarodowy kongres tak zwanych Feministek.

Nie było prawie jednej narodowości niereprezentowanej na tym niewieściem wiecu, albowiem nawet zjawiała się i pani Maryi Szeliga-Lowy.

Nie wiemy czy ta pani występowała jako przedstawicielka kobiet polskich, gdyż zdaje nam się, że mandatu niewiasty nasze nikomu nie dały — bądź co bądź, występowała jako Polka, o czem donosi dość przychylny całej tej sprawie jeden ze współpracowników „Figara.” Pani Szeliga nawet była wiceprezydentką (co za zaszczyt dla naszej narodowości), przewodniczącą zaś zebrania została pani Pognon, która, według „Figara,” zyskała sobie to wyróżnienie dzięki swej sukni, czyniącej na zebraniu potężne wrażenie. Obiór jednak na prezydentkę p. Pognon nie obył się bez pewnego szurumburum. Obywatelka p. Leonia Rouzade zaprotestowała stanowczo przeciwko podobnemu wyborowi, albowiem zaszczyt przewodnictwa powinien przypaść doktorom znajdującym się na zgromadzeniu, nie damie wynajmującej mieszkania umeblowane.

Robi się wielki gwałt.

P. Potoné zwraca się z uprzejmą uwagą, iż nie wypada rzucać nasienia niezgody w chwili tak uroczystej, na co obrażona obywatelka woła:

— Nie znieważajcie mnie, bo jest tutaj mój mąż, który ująć się za mną potrafi.

Wesołość w izbie.

„Meża, meża dawajcie!” woła publiczność, — ale małżonek nie głupi jest, by się pokazywać.

Ta krótka scenka przypomniła mi komedję Fredry: „Gwałtu co się dzieje,” gdzie to niewiasty rej wiodły do czasu ukazania się wieści o Tatarach. „Kasperku bij się!” woła przelekką małżonka — bo dobrze to sobie jest wojować ze stołkami, lecz nie z krzywonosym Tataram.

Nie dziwię się tedy, że w przewidywaniu podobnej ewentualności, by z czasem nie zawołać: „Kasperku!” — na owym niewieściem kongresie kwestya wspólnego rozbrojenia i wieczystego pokoju — zapa-

dla jednomyślnie. Tatara niema—niewiasty mogą spokojnie szastać się.

Cel kongresu znaczenie miał nie byle jakie.

Chodziło tu o rozejrzenie się w postępie prac zmierzających do wyzwolenia kobiety z niewoli Egipskiej, przedmiotem zaś obrad były rozprawy nad najważniejszymi zagadnieniami z dziedziny prawa, ekonomii społecznej i polityki.

Oto punkta, nad którymi debatowano:

- 1) Reforma prawa o małżeństwie. Prawo zawodowe.
- 2) Projekt do prawa o wyłączeniu zarobków kobiety zameężnej z pod wspólności majątkowej.
- 3) Reforma kodeksu karnego z punktu równouprawnienia obu płci.
- 4) Prawo wyborcze. Wybieralność kobiety do rad biegłych przysięgłych — do rad zawodowych i sądów zawodowych.
- 5) Sprawa pokoju powszechnego w całej rozciągłości.
- 6) Dobroczynność.
- 7) Wychowanie.

Nie będziemy powtarzali mów różnych pań i panów, stanowiących istną wieżę Babel, gdzie już nie tylko języki mieszały się, lecz zwyczajna, codzienna chłopska logika. Dla charakterystyki zebrania musimy tylko wspomnieć o niektórych zapadłych uchwałach, będących dowodem dzielności obradujących mózgów.

Postanowiono więc na wniosek pani Maryi Szeli—aby:

- 1) Kobiocie wolno było wedle jej woli przyjąć lub nie przyjąć narodowości męża—i aby: (Przepyszny wniosek!)

- 2) Dzieci takich związków (mieszanych) wybierały sobie narodowości po dojściu do pełnoletności...

Genialne!

Rodzi się więc tu pytanie:

„Co to jest narodowość?”

Odpowiedź:

„Jest to sobie taka sukienka, w którą dowolnie ubrać się mogą dochodzący do pełnoletności. Zechce być Cyganem—będzie Cyganem, Szwedem—Szwedem, Żulusem—dla czegoż nie, jeżeli mu się podoba.”

A jeżeli dochodzący do pełnoletności nie zechce do żadnej narodowości należeć?

Tem lepiej dla niego.

Pomijając jednak podobny wypadek wynikający z wolności wyboru — jakbyśmy zrozumieli prawo wybierania sobie narodowości, po dojściu—do lat pełnych?

Oczywiście, dziecko wychowywane być musi tak, że nie powinno nic widzieć *kim* jest, w przeciwnym razie, swoboda wyboru byłaby wychowaniem skrupowana. A tu właśnie o wolność chodzi. Wybija więc decydująca chwila i rodzice czy społeczeństwo, (bo nie powiedziano kto pełnoletniego ma pytać) pytają:

— Powiedz mi, mój kochanku, teraz, do jakiej narodowości chcesz należeć?

Pełnoletni zakłopotany mówi, chce być:

— Francuzem?

— Dla czego?

— Włochem?

— Z jakiej racji?

— Niemcem?

— Po kiego licha?

— Ale powiedzże, mój kochanku, kim ty chcesz być?

Na to pełnoletni:

— Drodzy moi rodzice, czy — szanowne moje społeczeństwo. Jeżeli chcecie, ażebym należał do jakiegokolwiek bądź narodowości, to muszę tę narodowość znać i ukochać, odetchnąć powietrzem nie tem tylko, jakim oddycham obecnie, lecz jakim oddychała przed tysiącami laty i jakim oddychała nadal pragnie. Z nią musi mnie połączyć długa nie tradycyi, której końca w dalekiej przyszłości gina. Ja jestem ogniwem jakiegoś łańcucha, które-

go nie daleście mi poznać; jestem *czemś*, co ma za sobą *coś*, a to *coś* przeszłe może tylko mówić o mojem *czemś* w przyszłości. Wyrzuciliście mnie za nawias i dziś dręczycie pytaniami głupim? Najdrożsi rodzice czy najukochańsze społeczeństwo—niech was dyabli wezmą a jasne pioruny wystrzelają!

Zdaje się, że taka a nie inna padłaby odpowiedź pełnoletniego, któryby nie chciał być obywatelem świata i na czole swoim wypisać dewizy: *ibi patria ubi bene*.

Ale pani Marya Szeli, aczkolwiek pełnoletnia, postawiła ten wniosek—i kongres feministyczny, nie widząc w nim namacalnego absurdu, zanotowała.

Pozostaje teraz tylko wnuczkom i prawnuczkom trzymać się tej samej zasady, nieprzyznawać się do żadnej narodowości, a nie będą one podatkiem płaciły, ani odbywały służby wojskowej i t. d.

Kiedy logika to logika!

W tem miejscu robimy mały odskok, przypominając znakomity odczyt wygłoszony na rzecz Osad Rolnych, przez d-ra Henryka Nussbauma na temat: „Kobieta w społeczeństwie ze stanowiska przyrodniczego,” w którym prelegent mówi, opierając się na szeregu faktów z dziedziny anatomii i fizjologii, że „kobieta mężczyźnie nie może być *równą*, gdyż jest *różną* od niego” i dalej: „ideom, które nie są wprost niebezpiecznymi, dobrze jest pozwalać rozwijać się, próbować życia, aby same, siłą swej słabości mogły się zdyskredytować, mniej będą one wtedy łańcuchem umysłu bezkrytycznego.”

Przeciwko fałom trudno czasami jest płynąć i biegu ich zatrzymać. Niech więc płyną póki nie natrafiają na naturalną przeszkodę wstrzymującą ich zapędy. Wszelki absurd własną bezwładnością paść musi, choćby był zawotowany przez kongres feministek. Taki absurd widzieliśmy w przejściu przez głosowanie wniosku pani Szeli, absurd stworzony przez kaprysy nerwów kobiecych nie przez wysilek rozumu.

Aż oto pojawia się niejaki p. Paweł Robin, przyjaciel kobiet, feministka *par excellence*.

„Jak widzę—mówi—to chcecie się odwołać do prawa, aby polepszyć waszą dolę. To na nie! Wszelkie, ponawiane przez was, próby, będą tylko zaciśnięciem łańcuchów waszych. Prawa są złe, muszą być złe—i niema innych praw. Prawdziwem lekarstwem jest wolność, której potrzeba umieć spojrzeć oko w oko. Co to jest wolność, przy niewolnictwie militarnem? Szczeble tego postępu, o którym nam prawią, prowadzą wstecz tylko. Wy się chcecie bawić w nowe prawa o małżeństwie a ja wam powiadam: Żadnych praw! Niech żyje wolna miłość!”

Aha—wylazło sztydło z worka pana feministy.

Sekunduje panu Robin p. Paulina Minet, oklaski audytorium mieszają się z szemraniem lecz zwolenniczka wolnych związków słuchaną jest z uznaniem, bo znają wszyscy jej *dobre serce i siłę przekonania*.

Na popołudniowym zebraniu występuje delegowany studentów socjalistów niejaki Janekeljo. Dziękuje zgromadzeniu za przypuszczenie go, jako reprezentanta korporacji studentów, do obrad i zwiastuje kobiecie oswobodzenie *przez mężczyznę*, który potrafi znieść klasy i przywileje. Zgromadzenie niewiast, które własnymi siłami ma zamiar tego dokonać burzy się i protestuje. P. Juliusz Bois literat, poeta i konferencyonista daje słuchaczom obraz kobiety przyszłości. Jako kobiety przyszłości godne naśladowania, mówca między innymi wylicza Maryę Szelię i—Orzeszkową.

Pani Elizo i co ty na to?

Czy ty, będąc pionierką emancypacji kobiet o takiej marzyłaś? Czy rada jesteś, że nazwisko twoje na tym kongresie zabrzmiało? Wątpię!

Są wnioski o których przyzwoitość zamieścić każe. Do takich należy przemawianie p. Robin o dowolnem macierzyństwie i Hildy Sachs o *kulcie* N. M. Panny. Jedne są wprost zbrodnicze, inne bluźniercze. Kongres kończy się zawotowaniem powszechnego pokoju, nowy zjazd feministek ma nastąpić podczas wielkiej wystawy paryskiej r. 1900.

Pominęliśmy tutaj o wspomnianem na początku, wychowaniu dzieci przez społeczeństwo. Oczywiście że przy takich warunkach rodzina runąć mu-

si. Lecz, przypuszczając, gdyby szal ogarnął ludzkość i coś podobnego nastąpiło? Nie potrzeba być prorokiem—świat by się przemienił w zgraję rozruchanych istot, a że duch może uleść ciału, lecz nie zwyciężonym być przez nie—nastąpiłby protest szlachetnych, i—walka na noże. Idea powszechnego pokoju znikła by, jak sen, cywilizacya wstrzymała by się w swym pochodzie—nigdyby ludzkość krwawszych nie widziała wojen, niedoświadczałaby mąk większych.

Złe jest już na świecie — gdy w milezeniu przeszedł głupi okrzyk p. Robina.

— Jeżeli Bóg jest, niechaj nam się pokaże tutaj. Nie każdy, z rozsądkiem tylko, człowiek zjawiał by się na wołanie pana feministy—a on chce obecności Bożej!... Lecz nie masz granie bezczelności i głupocie ludzkiej.

Niebo bez Boga, ludzkość bez ognisk rodzinnych—to bezdech i szal.

Piękny horoskop świata.

Jakże mi dziwnie, zwracać się od szyderstw z macierzyństwa, oddawania dzieci na łaskę nieznanym wychowawców, do jasnej, przezroczystej postaci Stanisława Jachowicza.

Sto lat minęło od chwili narodzin wielkiego przyjaciela dzieci—i czterdzieści dopiero od chwili jego śmierci. Nie zapomnieliśmy o tym nauczycielu i wychowawcy kilku pokoleń i dzisiaj hołd jego pamięci składamy. Sądzymy, że należałoby uczcić tę rocznicę szczegółowym opisem jego życia i działalności, jako też zbiorowem wydaniem wszystkich dzieł jego, poświęconych działwie, dla której życie całe oddał. Wydawnictwo powinno być niezmiernie tanie, by w każdym najbiedniejszym znalazło się domu.

Nie masz pisarza, któryby tak utkwiał w pamięci dziecinnej, jak Stanisław Jachowicz. Z jaką rozkoszą dziś nawet powtarzam jego wierszyki, wiele wspomnień w duszy mojej rozbudza powtarzany, mimowoli, niejeden ustęp z jego bajeczek! — Czy znajdzie się choć jeden z nas, któryby nie pamiętał Stacha, płaczącego, że na sukni zrobił plamę, albo Tadeuszka, dręczyciela muszek. Dziś działwa nasza powtarza te same bajeczki i wiersze, i zaczyna ich sereą i dusze, owiane szlachetnym tehem moralnych nauk Jachowicza.

Obiecałem wam, szanowni czytelnicy, w poprzedniej pogadance z wami, przejść się po Warszawie i zanotować różne ciekawości spostrzeżone, podzielić się niemi.

Niestety!

Chodziło się nie wiele, więc może dla tego i spostrzegło się nie wiele. W pokorze ducha przyznaję się nawet, że i do sławnego *Panopticum* nie zaszedłem, choć prawdziwą przynętą tej wystawy są doskonałe mikroskopy powiększające przedmioty do 30,000 razy i prześmieszne zwierciadła karykaturę robiące z człowieka. Zaledwie udało mi się odwiedzić wystawę Krywulta i przypatrzeć się obrazom St. Masłowskiego, które w całości bardzo dobre wrażenie robią.

Według mnie, to jedną z największych zalet pędzla rzeczonoż malarza jest umiejętność wydobycia efektów świetlnych. Te trudności, od których niejednemu głowa pęka, artysta z całą swobodą pokonywa. Jeżeli przedstawia dzień, to łśni się od blasków słonecznych, świeci i grzeje; zachód pali się ogniem krwawym, czuć ciepło i widać blask—to dosyć!

Spojrzymy, na przykład, na las sosnowy.

Promienie słoneczne przedzierają się przez głąb i duże światłnemi smugami padają na ziemię piaseczystą, pozbawioną zieloności nawet. Gdzie nie gdzie tylko leżą rozrzucone szyszki i licha trawka wydobywa się na wierzch. Nie pociąga mnie tu jednak, ni doskonała głębia lasu, ni wyborne malowane pnie sosen, jak to światło, które długimi pasmami po ziemi się ściele. Zapominam, że patrzę na dzieło sztuki, przemawia do mnie wprost natura. Szukam słońca, które gdzieś świeci na niebie, a tutaj tylko szło blaski swoje, doskonałe jasne i doskonałe ciepło.

Zachód w obrazie zatytułowanym: „Mickiewicz i Maryla” jest równie pod względem kolorytu nie zwykle śmiało malowany. Oświetlenie purpurowe nieba, liści i kolumny z posągami satyra—jest doskonałe;—z daleka patrz tylko, bo przerazi cię zbliżka, wprost, mazanina pędzla. Brzydkie są postacie sie-

dających, szkaradnie brzydkie łabędzie podpływające do brzegu. Przepyszne tylko oświetlenie.—Tu z rysunkiem pokłócić się trzeba.

Jeżeli już mówić o zaletach rysunkowych, to ich ma sporo „Taniec kozaków” i „Spór o granicę.”—Bądź co bądź, autor złożył przed publicznością egzamen, jako doskonały malarz i umiający chwycić naturę na gorącym uczynku.

Jakkolwiek wiosna zakaprysiła nam trochę, jakkolwiek z rozkwitem opóźniły się drzewa i krzewy, bo Ogród Saski, ów letni salon Warszawy zaledwie okrywa się mgłą zieleni a blade listki puszczejają kasztany—coraz bliżsi jesteśmy chwili, gdy koncert wydadzą nam słowiki, a majowy deszczak orzeźwi ziemię i każe szczęśliwcom pomyśleć o opuszczeniu syreniego grodu podczas upałów letnich.—Lecz oczywiście, że przedtem zwiedzimy wystawę hygieniczną i poprobujemy szczęścia w totalizatorze, ale nasamprzód udamy się do cyrku, nie na przyszłe, tylko na dowcipom błazeńskim, przypatrywanie się łamanym sztukom akrobatów lub lotnym wolteżerkom—lecz.

Oto zostanie urządzona zabawa na korzyść kasy pomocy nauczycielskiej, bogaty zaś jej program i cel powinien liczną publiczność do wzięcia w niej udziału zachęcić: Battistini i Michałowski przyrzekli swoje poparcie, będzie więc śpiew, muzyka, deklamacja i inne niespodzianki a krom tego, ujrzymy żywe obrazy, w ilości pięciu, wzięte z Sienkiewiczowskiego *Quo vadis...*—Te obrazy powinny być siłą przyciągającą, bo wiemy z jakim nakładem i starannością są urządzane. Ujrzymy tam Nerona deklamującego przy pożarze Rzymu, atletyczny Ursus w swej mocy potężnej stanie przed nami, wzrok nasz spocznie na idealnej postaci Lidy i klasycznym Petroniuszu, — a wszystko ujęte w ramy ówczesnej epoki, z wiernem oddaniem strojów i w otoczeniu starorzymskiej cywilizacji.

Wspaniałe te obrazy zawdzięczać będziemy trudom i pracy niemałej, znanego artysty — malarza, p. Ludomira Szpadkowskiego.—Przedstawienie odbędzie się w dniach 9 i 10 Maja.—A zatem — Do widzenia!

??

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Z powodu Cecylii omal nie przyszło do żywej pomiędzy p. Klemensem a żoną sprzeczki. P. Helena oświadczyła mężowi chęć zatrzymania sieroty u siebie na czas nieograniczony, co tenże przyjął z nieukrywana niechęcią.

Póki Cecylia uważana była jako jedyna sukcesorka bogatych krewnych, był jej rad w swoim domu; obecnie rzeczy się zmieniły, więc i on nie wysiłał się na grzeczności a nawet pańskie tony względem sieroty przybierał.

— Pozwól powiedzieć sobie, Heleniu — mówił do żony mocno niezadowolony, — że pomiędzy rodziną bardzo często wynikają nieporozumienia, na które zważyć nie należy. P. Cecylia nie nie posiadając, powinna była wyrzec się dumy śmiesznej w jej położeniu i w domu stryja pozostać. Mając ją na oku, widząc jej przywiązanie, nie tak łatwo dałby się tam ej kobiecie ować. I w testamencie nie pominąłby p. Zielińskiej... Ręczę za to! Szalona dziewczyna i dla tego...

— Klemensie! — przerwała zdumiona p. Helena — więc przypuszczasz, że to biedne dziecko mogło być pozostać nadal pod takim niegościnnym dachem, pod opieką przewrotną, bez wychowania kobiety? Sam wiesz, jakie wyjątkowe okoliczności do wyjazdu ją zmusiły... po prostu wypędzoną została...

— Egzagerujesz, duszko! — odezwał się szyderczo p. Klemens. — A zresztą, dom nasz nie jest instytucją dobroczynną... Jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie, to ci powiem otwarcie, że nie rad z tej zażyłości dziewcząt naszych z p. Zielińską. Ni z pierza, ni z mięsa...

— Lubiłeś ją dawniej i tolerowałeś... — mówiła, tłumiąc oburzenie, p. Helena. — Skoro nie mamy nic do zarzucenia ani jej charakterowi ani wychowaniu...

— Romanse! — mruknął podrażniony p. Klemens. — Byłaś zawsze egzaltowaną Heleniu i tę wadę przekazałaś córkom swoim. P. Zielińska jest to sobie najwyczajniejsze stworzenie i wy dopiero uczyniłyście z niej bożyszcze. Ja, przedewszystkiem uważam ją jako istotę nieszczęśliwą, bo mającą pojęcia przewrócone i wyegzaltowane poglądy; dla tego powtarzam, nie rad jestem z obcowania jej z dziewczętami. I tak już dzięki tobie, Heleniu, realnego nie trzymają się gruntu.

P. Helena zarumieniła się z oburzenia i przykrości. Wprawdzie znała dostatecznie swojego małżonka, każdy jednak z jego strony objaw moralnego czy umysłowego ubóstwa ranił ją dotkliwie.

— Zrób to dla mnie, Klemensie, i przy córkach naszych nie rozwijaj tego przedmiotu — rzekła prosząco. — O przyszłości Cesi oczywiście sama pomyśle, ale na to czasu potrzeba. Teraz starajmy się tylko nie dać jej uczuć, że coś dla niej robimy. Znam twoją wrodzoną grzeczność i takt, więc mam nadzieję, że łprzejmem obejściem pokryjesz swoje uprzedzenia. Biedne dziecko niema już teraz nikogo na świecie...

Mimo prośby tej, Cesia wyszukaną a zimną grzecznością p. Klemensa oszukać się nie dała. Nie lubiła go nigdy, w gładkiem obejściu odczuwając fałsz... Na razie jednak, nie wiedząc jeszcze, co z sobą pocnie, musiała przyjąć w domu jego gościń, którą jeno tliwie serce p. Heleny i niekłamane przywiązanie Amelki i Janiny osładzały.

— Czy uważasz Melo, jak ojciec jest niegrzecznym dla Cesi? — pytała Janina, której bystrego oka nie nie uszło... — Niekiedy bywa impertynencki... Dziwi mnie to, bo ojciec zawsze dla wszystkich niemal jest uprzejmy.

Piękne rysy Amelki zasępiły się. Zdjął ją żal o swoje „dzieciatko,” z pewnością tę nieprzyjazną dla siebie atmosferę odczuwając.

— Przykro mi, bardzo przykro... — ozwała się po chwili. — Cesia oczywiście cierpi nad tem, choć się nie skarży... Nie pojmuję, czemu ojciec tak się dla niej zmienił. Byłam pewną, że ją lubi...

— I mnie się tak zdawało... — odparła zadumana Janina. — Dla Brunona, którego ja teraz dopiero szanować zaczynam, ojciec też był wczoraj taki kwaśny... Ojciec widocznie ceni ludzi wedle ich stanowiska... — dodała z odrobiną ironii.

— Nie zastanawiamy się nad tem — wtrąciła żywo Amelka. — Ojciec musi mieć swoje powody, chociaż my o nich nie wiemy. Trzebaby jednakże pomyśleć o przyszłości Cesi i uwolnić ją od zależnej pozycji...

W tym celu wybrała się do Jadwigi. Rozmyślając nad sposobem odmalowania w żywych kolorach smutnej doli przyjaciółki, tego samego wieczora jeszcze zadzwoniła do eleganckich apartamentów p. p. Jedłowieckich.

Lokaj wprowadził ją do salonu. P. Jadwiga siedziała właśnie przy fortepianie, grając łagodną jakąś melodię o minorowych dźwiękach, której prosty, ludowy motyw przewijał się w warjacych i pasażach nie z wyszukany wprawdzie artyzmem, ale z uczuciem i zrozumieniem.

— Zastałaś mnie przy „Kołysance” — mówiła ze śmiechem, witając Amelkę. — I to w dodatku ułożoną przeze mnie z melodi, zasłyszanej niegdyś na wsi... Talent kompozytorski zawdzięczam mojemu małżonkowi, bo wyobraź sobie, twierdzi, że muzyka ma ukojaka go i ławiej pozwala pracować. Dumną z tego jestem, przynajmniej, chociaż zdumienie moje przechodzi granice... Pamiętasz, Melo, do jakiej niecierpliwości doprowadzałam zawsze naszą nauczycielkę muzyki? Nie tylko zdolności nie posiadałam żadnych w tym kierunku, ale i chęci...

Śmiała się wesoło, Amelka patrzyła na nią z niekłamana życzliwością.

Ślicznie dziś wyglądała. Od ponsowego, krepą przybranego szlafrocza odbijała delikatnie twarz

jej ściągała o cerze bladej i wielkich ciemnych oczach.

Piękną niktby jej z pewnością nie nazwał, każdy przecież nieodmiennie zgodzić się musiał, że jest bardzo sympatyczną i żywą, co jej dodaje dziewczęcego uroku i sprawia, że każdy patrzy na nią z przyjemnością.

— Cóż bym oddała za to, gdyby Jania zachowała dawną swą żywość — odezwała się Amelka, nagle posmutniawszy. — Na pensji byłyście bardzo podobne do siebie...

— Wieczyste utrapienie profesorów i guwernantek... — rozśmiała się Jadwiga. — Ale istotnie Jania niezmierznie się zmieniła. Czemu? Zastanawiałam się już nieraz nad tem...

Jadwiga posmutniała także; miejsce ożywienia zajęła powaga.

— Jania, niestety! staje się podobną do terazniejszych panien — odezwała się po chwili. — Straciły wiarę w istnienie ideału, rozgoryczyły i zdaje im się, że im z tem do twarzy. Wiesz, Melo? Zastanawiam się często nad różnicą pojęć i wychowania matek naszych i nas... One zachowały przez życie całe młodość i pogodę ducha, optymistyczne zapatrywania i prostą a głęboką wiarę. Drobne, domowe nieciechy i wypadki potrafią dziś jeszcze żywiej ich interesować, niż nas najwyszukańsze rozrywki. Jania naprzykład z całą dobrą wiarą zapewniała mnie, że już ją nie, nie zgola nie bawi... Czy to nie smutne?

— Poruszyłaś przedmiot nieustających moich obaw, Jadwiniu — odparła Amelka z westchnieniem. — I wyobraź-że sobie, że Cesia dąży tą samą drogą... O niej to właśnie pomówić chciałam z tobą. Cesia jest bardzo nieszczęśliwą i upokorzoną. Stosunek ze stryjem zerwany, innej rodziny nie posiada, jak nie posiada żadnej materialnej do życia podstawy. Gnębi ją przymusowy, beczynny pobyt u nas, cierpi jej duma... Przyjmować kawałek powszedniego chleba z cudzej ręki...

— To okropne! — wybuchnęła z pełnemi łez oczyma Jadwiga. — Ale pogardzałabym Cesią, gdyby się na takie istnienie zgodziła. Droga użytecznej zarobkowej pracy otwarta przed nią. Cesia może i powinna zdobyć sobie byt samodzielny... Chociaż nazwałabym się szczęśliwą, gdybym ją mogła za mąż wydać... Najmilszy cel, najspokojniejsza przystań dla kobiety, to spełnienie najszczytniejszego obowiązku, droższego sercu nad wszystkie inne!

Zamyśliła się a po chwili rozkoszny uśmiech na jej twarzy zagrał, w oczach wesołe blaski.

— Już ja nie spocznę, dopóki Cesi za mąż nie wydam... — zawołała, osypując pocałunkami Amelkę. — Zaraz dziś pomówię z Czesławem. Jestem pewną, że weźmie to gorąco do serca... Musi mi ułożyć listę kandydatów kwalifikujących się do małżeństwa, z dodatkami przymiotów osobistych i oczywiście odpowiedniej materialnej pozycji. Zamaż-pójście to najpewniejsza i najkrótsza droga do szczęścia... Tak, tak! Rozpoczynam swaty: w sobotę urządzam nadzwyczajne przyjęcie, Czesław dostawia paczkę obiecujących młodzieńców, Cesię do tego ważnego aktu przygotuję ja sama... Tyś za poważna Melo, Janka mężczyźni nie lubi a tymczasem, moje panie, wiercie mnie, starej mężatce, że odrobina kokietery jest niezbędnie potrzebna. Czy myślisz że ja nie kokietowała Czesławem? Troszkę, troszyneczkę, ale zawsze... Mój poważny małżonek potrzebował tego... Sam mi opowiadał, że najmniejszego wrażenia na nim nie uczyniła, gdy mnie po raz pierwszy zobaczył... I bylibyśmy przesłali obok siebie, nie przeczuwając, że duchy pokrewne w nas mieszkają, gdyby nie to, że się postarała z najlepszej strony mi się przedstawić.

Amelka rozśmiała się serdecznie.

— I przyznajesz się do tego otwarcie, trzpiotko?

— Czemuż by nie? — odparła wesoło. — To były przecież rzeczy niewinne... Często kwiatek umiejętnie wpięty, uśmiech, spojrzenie ujarzmi serce pana stworzenia i —

Zerwała się i uchyliła portyere, oddzielającą gabinet męża od jej buduaru, dokąd się na pogawędkę z Amelką schroniła.

— Czesławie, pójdz do nas na chwilę — prosiła dźwięcznym, miłutkim głosem, obejmując rozkochanem spojrzeniem pochylonego przy biurku męża.

W chwilę potem, Czesław Jedłowiecki wszedł do buduaru.

Był to wysoki, niezbyt młody mężczyzna o myślicem czole i surowej twarzy, której powagi dodawała jeszcze długa, ciemna broda.

— Jakżem pani wdzięczny—mówił z życzliwością, ściskając dłoń Amelki—moja mała rozerwie się trochę... Uczuwam wyrzut, pozostawiając ją zbyt często osamotnioną...

Jadwiga wspięła się na palce, by dosięgnąć ramienia męża.

— Pan profesor unieszczęśliwia swoją żonę...—odezwiała się z udanym smutkiem. — Kocha więcej książki, a biedna żona usycha wśród czterech ścian...

W poważnych oczach Jedłowieckiego odbiło się niedługo przerażenie. Nie poznał się na żarcie żony i w głębi jego duszy powstawał wyrzut, czy istotnie tej żywej jak srebro istocie wystarcza taki mól książkowy?

— Jadziu—wyjąkał zakłopotany—to wina twoja. Znadto jesteś pobłażliwy. Oczywiście książki stanowią wielką dla mnie rozkosz, gdybyś jednak uważała że... że...—Jakaś się, przenosząc wzrok kolejno z twarzy Jadwigi na Amelkę, a taki przytem był niezręczny, długie jego ręce z taką nieśmiałością wyciągały się ku żonie, że powaga p. profesorowej rozplynęła się w kaskadę srebrzystego śmiechu, a i Amelka zaledwie uśmiech powstrzymywała.

— Ty mój jedyny, najdroższy!—wołała Jadwiga obsypując męża pieszczotami.—Czytaj, bazgrz, odgrzebuj stare szpargały; nie mi to nie przeszkadza, skoro ty czujesz się szczęśliwym.

Poważną twarz Jedłowieckiego rozjaśnił uśmiech pełen słodyczy, oczy utonęły w twarzy żony z wyrazem zachwytu.

Amelka patrzyła na niego z podziwieniem. Jakże ta surowa twarz piękną była w tej chwili!

— Czesławie!—zawołała Jadwiga.—Znasz Cesię Zielińską? Ona biedna została teraz bez dachu i chleba. Musimy dla niej obmyśleć i jedno i drugie, albo pomagając do wywalczenia samej bytu niezależnego, lub, co bym stokroć wołała, wydając ją za mąż. Musisz mi zaprosić na sobotnie przyjęcie wszystkich twoich znajomych trwających dotąd w celibacie. Czy zgadzasz się mój jedyny?

Jedłowiecki z uśmiechem pogładził głowę żony.

— Czy konieczne?—spytał.—A jabym sądził, że ze względu na fizyczne warunki twojej przyjaciółki, pierwsza połowa projektu byłaby odpowiedniejszą; druga może dać jej same zawody i ciernie.

Wywiązała się sprzeczka, Amelka i Jadwiga przyznały jednak dowodzeniom p. Jedłowieckiego zupełną słusność.

II.

P. Klemens od dni kilku czuł się niedobrze. Dokuczał mu ból głowy i dziwna ociężałość; stracił apetyt, wstrząsały nim dreszcze, po których znowu rozpalało się ciało. Nie poddawał się chorobie, i chociaż p. Helena prosiła, aby pozostał w domu słuchać o tem nie chciał.

— Nie mam czasu—odpowiadał zniecierpliwiony.—Tyle interesów, tyle projektów mam na głowie...

— Zambrówka przysporzyła ci nie mało kłopotu Klemensie—westchnęła p. Helena.—Czy tylko podobasz wszystkiemu?

P. Klemens na mgnienie oka zawahał się i twarz mu się zasępiła.

Zambrówka istotnie, nabyta z długami, zaniedbana, bez inwentarza, pochłonięła już niemałą sumkę. Prezes, chociaż sam przed sobą przyznać się do tego nie chciał, lękał się, czy nie za wiele ryzykował.

— Nie biorę nigdy ciężarów nad siły—odezwiała się wreszcie do przyglądającej mu się z obawą żony.—Bądź spokojna! Przedsiębiorczy, energiczny mój umysł podoła wszelkim trudnościom.

— Wierzyłabym temu, gdybyś posiadał gotówkę...—szepnęła p. Helena.

— Posiadam więcej niż gotówkę, bo spryt i energię, dwa najważniejsze czynniki do pokierowania się w życiu...—odpowiedział zniecierpliwiony.—Nie nudź mnie Heleniu, proszę cię!...

P. Helena oparła dłoń na ramieniu męża.

— Kochany Klemensie!—odezwiała się łagodnie—przyznasz chyba, że nader rzadko ci się uprzykrzam... Od pewnego atoli czasu zauważyłam troskę na twojej twarzy... Czy tylko nie na zbyt hazardownie uganasz się za powiększeniem fortuny? Należałoby więcej liczyć się z funduszami i z tem, co ludzie powiedzą. Szybkie nasze wzbogacenie daje powód do domysłów...

P. Klemens wzruszył ramionami.

— Opinia ludzka nie mnie nie obchodzi,—odparł niedbale.—Świat kłania się zawsze możnym i nie zwykł badać, jaką drogą ktoś do majątku dochodzi.

— Mylisz się!—wtrąciła p. Helena.—Słyszałam, że i o nabyciu Zambrówki odzywają się już niechętnie. Boli mnie to, Klemensie, choćby ze względu na córki nasze...

Głos jej zadrżał i na nie już nie zważając, wyciągnęła ku mężowi rękę.

— Klemensie, mój drogi, nie gniewaj się, lecz powiedz mi nareszcie, w jaki sposób myślisz pozbyć się długów na Zambrówce ciężących? Podobno i Orzełowska nie spłacała jeszcze...

— Plotki!—wybuchnął p. Klemens.—Babskie plotki! No i oczywiście zazdrość... Los rzadko komu sprzyja tak jak mnie... Nigdy jeszcze nie straciłem i nie zawiodłem się na niczem... Może—może tylko na tobie, Heleniu—uśmiechnął się żartobliwie niby, ale p. Helena wiedziała oddawna, że to jest jego przekonananie.

— Zapóźno już niestety! zastanawiać się nad tem...—rzekła, pokrywając zrećznie przykrość, jaką jej odezwanie się męża sprawiło.—Więcej Orzełowska odebrała wszystko, co jej się z Zambrówki należało, Klemensie? Myśl o niej spać mi nie daje...

— Mogę cię zapewnić, duszko, że p. Orzełowska nie rości sobie żadnych pretensyi,—odparł poważnie.—Zyskała więcej, niżeli przypuszczała. Śmiało rzeć mogę, że gdyby nie ja, byłaby wyszła z Zambrówki o kiju żebraczym. Czy ci to wystarcza Heleniu?

P. Helena ucałowała czoło męża.

— Dziękuję ci, Klemensie,—szepnęła wzruszona.—Ale jakiś ty rozgorączkowany? skóra sucha, paląca... Tak wyglądasz, jak gdybyś zwalczał w sobie chorobę. Poślę po d-ra Zarzewskiego...

— Uprzejmie cię proszę Heleniu, przestań się mną opiekować...—szorstko już teraz przemówił p. Klemens.—W zdrowego wmówiłabyś chorobę. Nie mię nie boli, czuję się tylko zmęczony a mam jeszcze dużo pisaniny...

Było to grzeczne wyproszenie małżonki; p. Helena poznała się na tem.

— Bądź uważnym, Klemensie,—rzekła odchodząc.—Oby tylko upór nie wyszedł ci na złe... Pozwolisz, że przed udaniem się na spoczynek zajrzę jeszcze do ciebie...

P. Klemens nie odrzekł, ale w myśli postanowił zamknąć się na klucz przed troskliwością żony.

— Głowa boli mnie istotnie...—mruknął do siebie po odejściu p. Heleny.—Coś mi dolega, to prawda... Ale co? Zaziębłem się chyba...

Wypił parę szklanek wody seicerskiej i położył się na sofie z cygarem, które przecież wnet odrzucił.

I ono mu dziś nie smakowało. Nie mogąc pisać, ani męczyć się rachunkami, pozwolił sobie na rzadki u niego zbytek. Marzył. Poczynając się gorączką pobudzony mózg pracował, przedstawiając jego wyobraźni dawno minione obrazy i zdarzenia.

Widział siebie maluczkim, ze zgiętym karkiem w obec wielkich tego świata, nicością, zerem, z którym się nikt nie liczył.

Czem zwyciężyłem? myślał—a poczucie dumy pierś mu podniosło. Woła. Ujarzmiłem myśl, czuję, spętałem język, stałem pokorny i cichy w obec tych wielkich, aż w duszy wszystko zamilkło, prócz żądzy stania się im równym.

Sam—myślał dalej—własnymi rękoma zbudowałem wspaniały gmach mego powodzenia.

Słusznie powiedział któryś z filozofów, że ludzkość składa się tylko ze zwycięzców i ze zwyciężonych. Pośredniej drogi tu niema. Mogłem zostać nie nie znaczącym pionkiem na szachownicy życia—przesuwając się zrećznie w jego szrankach zapewniło mi wygraną.

Walka o byt! Nie padnie ktoś drugi, padnę ja!

A więc sam instynkt samozachowawczy uprawnia poświęcenie tego kogoś w miejsce mojej własnej osoby.

Wszystko polega na tem, aby niepotrzebny balast w postaci idealnych mrzonek, szlachetnych porwów wyrzucić z łódki życiowej. I czem wcześniej, tem lepiej. Pięknie byłbym wyszedł naprzekład, kierując się zasadami i poglądami mojej żony.

Sięgnął po szklankę, chcąc nalać sobie wody, ale ręka mu drżała i dziwne osłabienie krępowało muskuły.

W głowie czuł szum i chwilami zamęt.

— Co się ze mną dzieje?—szepnął.

Mara choroby stanęła przed nim nagle, wiodąc za sobą myśl o nieuniknionym końcu wszystkiego.

On był przecie spójnią, która ten gmach wspinała jak nazywał swoje powodzenie, trzymała w całości.

Lecz sam wiedział chyba o tem najlepiej, że gmach ten miał jeszcze luki i próżnie, które on tylko mógł zapełnić. Wzmagała się gorączka, nadszła inna bieg jego myślim. Budował, aby używać, miałżeby odejść, zdobywszy tyle? Odejść i zamienić się w garstkę prochu?

Duszę jego poczał szarpać bunt i wściekłość. Straszne poczucie zupełnej bezsilności w obec nieubłaganej konieczności mózgu mu rozsadało.

A więc właśnie zwyciężonym byłby, a nie zwycięzcą.

O przekleństwo! Chciałby krzyżeć, mocować się z tym niewidzialnym wrogiem, który przychodzi odbierać wszystkol... Chciałby porwać się z nim za bary, zdusić go, zdławić, zdeptać pod stopami!

Uczuwał, że stać mu się może okropna krzywda, której nie wynagrodzi i przeciwko której on bronić się nie zdolny.

W parę godzin potem p. Helena zastukała do gabinetu męża. Cisza, panująca wewnątrz, uspokoiła ją.

Spi... pomyślała. Może to tylko lekkie kataralne przeziębienie. Odeszła do siebie i udała się na spoczynek.

Nazajutrz rano, lokaj, chcąc wedle zwyczaju pomódz panu przy ubieraniu, znalazł drzwi zamknięte.

Nie śmiał pukać, gdy jednak parę godzin upłynęło, p. Helena, zaniepokojona nieobecnością męża przy śniadaniu, posłała Amelkę do ojca.

— Jaśnie pan,—odparł na zapytanie lokaj,—śpi jeszcze. Aż mi dziwno, bo drzwi zamknięte na klucz, czego nigdy nie bywało. A przecie o tej porze zwykle jaśnie pan jest już w biurze.

Przerażona Amelka przywołała matkę.

Gdy stukanie i wołania nie pomogły wszczął się popłoch.

Otworzono drzwi przemocą.

P. Klemens leżał na sofie nierozebrany, twarz miał jak ogień czerwoną, oczy szkliste, któremi wodził niespokojnie w około.

Posłano po lekarza. Po czerwoności skóry odgadł chorobę.

— Ospa,—rzekł do przerażonej p. Heleny i córek.—Nie dziwnego, bo w tej dzielnicy panuje.

Spojrzał na świeże, piękne twarzyczki pańien i szepnął pani Helenie.

— Przedewszystkiem należy wyprowadzić te młode panie i sprowadzić dozorczynię.

Lecz dziewczęta mówić o usunięciu siebie z pokoju chorego nie pozwoliły.

Znękana p. Helena uległa ich błaganiom.

Ospa istotnie wybuchnęła z całą gwałtownością.

Im silniejszym był organizm, tem z większą zacieklnością rzuciła się na swoją ofiarę.

Pani Helena wezwwała do łóża chorego męża największe powagi lekarskie i sama spełniała wszystkie ich polecenia. Nadzieja jednakże utrzymania przy życiu p. Klemensa gasła z dniem każdym.

Siódmego dnia, lekarze nie mogli już dłużej tać, że chwile chorego są policzone.

Noc nadeszła w rozpaczliwym oczekiwaniu straszego gościa.

Chory ani chwilę nie odzyskiwał przytomności. Po szamotaniu się całodziennem, leżał teraz bezwładny i cichy.

Amelka, dziwnem osłabieniem wyczerpana, bezwiednie zadrzemała na sofie.

P. Helena w wizerunku cierpiącego Chrystusa zatonałszy spojrzeniem błagała Go, o jeden chociażby bliższy myśli jaśniejszej chorego, któraby pozwoiliła tej duszy zbłąkanej w zapasach z życiem, odejść odkupioną przez skruchę w krainę wiekuistego światła.

Wpatrzona nieruchomie w tak piękną niedawno, a dziś straszną twarz ojca, z ponurym ogniem w oczach i zaciśniętymi wargami, stała Janina przy łóżku chorego. Jej młoda duszę szarpała męka.

Przypomniała sobie, jak w ciągu lat ostatnich niekładała od pieczęci ojca, każdy czyn jego poddając surowemu sądowi.

Nawet w tej chwili, jasny jej umysł, bezwzględnie dążący do prawdy, obnażał moralną jego istotę, odkrywając małoduszność tego uwielbianego, którego na piedestale dziecięcych jeszcze marzeń umieszczała, jako najwyższy ideał dobra.

Tak! Ona własną ręką musiała stracić go z wyzyna ideału. A jednak życieby oddała za to jedno tylko, aby w chwili, wiecznej rozłąki mózg wyrwać ten cierni tak bolesnie krwawiący jej serce i zegnać go z miłością i żalem. Jak rosa niebieska spływałaby wtedy rezygnacya na żar piekącego ją bólu.

Chory poruszył się niespokojnie. P. Helena zerwała się i przybiegła do łóżka.

— Precz! — krzychał — wypreżając ramiona, jak gdyby pragnął zrzucić z siebie coś, co go dusiło. — Precz, żmijo! Nie druzgocz mnie swemi żelaznemi uściskami.

Chciał wyskoczyć z łóżka, p. Helena z Janiną pochwyciły go.

— Nie chcę, nie chcę! — krzychał, odpychając je. — Nie chcę tam iść... Ratunku! Zrzućcie mi z piersi tę żmiję!

Wysilony gwałtownym atakiem padł wyczerpany na łóżko.

Nad ranem odzyskał przytomność.

Obecny lekarz dał poznać p. Helenie, że koniec się zbliża.

Wkrótce potem u drzwi pokoju chorego, rodzina i domownicy, klęcząc w uroczystym skupieniu ducha, byli świadkami pojednania się jego z Bogiem.

Ku wieczorowi rozpoczęła się cicha agonja.

Janina, trzymając ziębnącą dłoń ojca, patrzyła w wypogadzające się rysy.

Obecność śmierci koiła z wolna burzę w jej sercu. Pełnem miłości dotknięciem gładziła chropowatą twarz ojca. Wreszcie pochyliła się i złożyła na niej pocałunek ostatni.

Gdy powieki umierającego zamknęły się łagodnie na sen wieczny, p. Helena nie widziała już tego. Z milczącą rozpaczą pomagała ułożyć w łóżku rozpaloną od gorączki Amelkę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODCZYTY.

Antoni Pilecki. „Dekadenci.“ D-r H. Nussbaum. „Kobieta w społeczeństwie ze stanowiska przyrodniczego.“

Po dwutygodniowej przerwie z powodu świąt wielkanocnych tegoroczną wiosenną serję prelekcji publicznych na korzyść osad rolnych zakończyły ciekawe odczyty p. p. Antoniego Pileckiego i Dr. H. Nussbauma.

Pierwszy z nich, wytworny poeta, z którego utworami, pełnemi myśli podniosłych i głębokiego uczucia, czytelnicy nasi niejednokrotnie mieli sposobność spotkać się na szpaltach „Bluszczy“, poświęcił dwa swoje odczyty najnowszemu kierunkowi w poezji wogóle, a poezji francuskiej w szczególności, znanemu pod nazwą dekadentyzmu. O dekadentach i dekadentyzmie dużo mówi się u nas w czasach ostatnich, — jest to obecnie temat modny. Niedawno ukazała się nawet książeczka, parodująca w zręczny sposób utwory dekadentów polskich. Baudelaire, Verlaine, Maeterlinck, — oto nazwiska, które dzisiaj powtarzają najczęściej wszyscy, pragnący — słusznie czy nie — uchodzić za znawców

w dziedzinie literatury pięknej. Nie znaczy to zresztą, aby wymienieni przed chwilą poeci byli u nas naprawdę znanymi, — abyśmy się rozczynywali w ich utworach.

Do tego przyjdzie może kiedyś, tymczasem jednak ci, którzy, ulegając gorączce mody, mówią u nas najwięcej o „nowym kierunku“ z poezji często nie rozumieją nawet, co stanowi kierunku tego istotę, i powtarzają naiwnie sądy i zdania, zapamiętane z rozmów lub artykułów w czasopiśmie. Odczyty p. Pileckiego, zawierające treściwą, ale dobitną charakterystykę ojców nowego prądu artystyczno-literackiego i jego wybitniejszych przedstawicieli, powinny do pewnego przynajmniej stopnia położyć kres dyletantyzmowi takiemu.

Odczyty swoje rozpoczął prelegent od uwag ogólnych, od ogólnej charakterystyki tła, na którym oczom jego ukazują się narodziny kierunku, ochrzczonego następnie mianem dekadentyzmu. Duch ludzki, wśród Syzyfowej pracy dociekań, chwieje się nieraz, — uczucie, stargane w walce o ideały, pada w pół drogi. Rozdzwięk między życiem, a jednostką, między rzeczywistością, a ideałem, każe nam zwracać się do głębi istot swoich i szukać w nich ukojenia. Po epoce materyalizmu i pozytywizmu, która wytłomaczyła tylko zewnętrzną stronę życia, lecz nie dała pojęcia o istocie rzeczy, o absolutie, — nastąpiła, zdaniem prelegenta, reakcja. Powstał cały szereg szkół i kierunków, sprzecznych częstokroć między sobą i zwalczających się nawzajem. W takim zamieszaniu pojęć i ideałów geniusz twórczy zwrócił się do źródła wrażeń, czując, że w sobie samym nosi on wyjaśnienie wszechrzeczy. Twórczość, z tego źródła płynąca, musi nosić na sobie cechę wybitnej podmiotowości. Twórczość ta zażądała przedewszystkiem syntezy, — a wyrazem jej w muzyce były utwory Wagnera, odpowiedniego nastroju, w poezji wreszcie — dekadentyzm i symbolizm, dwa pokrewne sobie prądy literackie, za których ojca wspólnego uważany jest powszechnie genialny poeta francuski, Karol Baudelaire.

Nad działalnością twórczą autora „Kwiatów grzechu“ zatrzymał się p. Pilecki obszerniej. Był to, zdaniem jego, duch nawskroś poetyczny, pełen wizji słonecznych, lecz pełen zarazem sprzeczności. Najszczytniejszy idealizm zdaje się graniczyć u niego z poziomym sensualizmem. Kobieta kocha to jak rycerz, kochanek poeta, to znów, jak wyrafinowany rozpustnik; — mistycyzm i zmysłowość w jedno niemal zlewają się u niego. W utworach swoich zerwał Baudelaire z poezją, odtwarzającą zewnętrzne cechy osób i rzeczy. Zwraca się on przede wszystkim do wnętrza duszy, powodowany pragnieniem wypowiedzenia jej tajników najgłębszych. Śmierć wreszcie wydaje mu się jedynym celem życia, jedynym wyjściem z drogi złudzeń i rozczarowań bolesnych, — śmierć tkwi w życiu samem, — ponure jej oblicze dostrzega poeta we wszystkich jego objawach.

Po za temi wewnętrznymi cechami twórczości Baudelaire'a należy zwrócić uwagę na formę jego utworów. Jest to forma dziwnie piękna, — uważać można ją niemal za ostatni wyraz artyzmu w poezji. Poeta daje w niej początek t. zw. „impresjonizmowi słowa“, polegającemu na takim doborze dźwięków, aby nie zależnie od treści, wywoływały one w duszy czytelnika zamierzone przez poetę wrażenie. Licznych naśladowców Baudelaire'a uderzyła przedewszystkiem ta właśnie strona jego twórczości, — zaczęli więc naśladować zewnętrzną stronę jego poezji, lecz, nie obdarzeni iskrą talentu, jaką nacechowane jest wszystko, co wyszło z pod pióra wielkiego propoplasty dekadentyzmu, doprowadzili „impresjonizm słowa“ do absurdu.

Słowa powyższe nie stosują się naturalnie do poety tej miary, tego talentu, co niedawno zmarły Paweł Verlaine. Jest to poeta bardziej jeszcze od Baudelaire'a podmiotowy, — w pieśniach jego znajduje odbicie najsubtelniejsze stany duszy twórcy. — Utwory jego rozpadają się na wiersze i wyrazy, niespojęne prawie jednością myśli, — poeta pisał tak, jakby o to nie szło wcale, aby przez kogokolwiek był zrozumiany, — że jednak posiadał duży talent i duszę nader wrażliwą, pozostawił po sobie mnóstwo prawdziwych klejnotów słowa. Było to chore dziecko wieku zepsucia, człowiek bez ideałów, natura nawskroś zmysłowa, przerzucająca się zresztą

od szalonych orgij zmysłowych do głębokiej skruchy, graniczącej niemal z ascetyzmem. Różnorodne te stany chorej duszy poety znalazły wierne odbicie w jego utworach, przenikniętych melancholią głęboką, owianych czarem niekłamane uczucia.

Baudelaire i Verlaine znaleźli wśród młodszych pokolenia poetów francuskich licznych wielbicieli i naśladowców. Ale epigonowie dwóch koryfeuszów dekadentyzmu francuskiego nie zdołali dorównać mistrzom. Najgłośniejszy z nich, Stefan Mallarmé, uczynił dźwięk słowa przedmiotem pewnego rodzaju kultu, umysł jego wyszukuje sztucznych dziwactw, poeta w pogoni za efektem podsuwa czytelnikowi szereg symbolów, które w jego umyśle wywołać powinny pewne wrażenie. Rodzaj tego wrażenia zależy jest w zupełności od czytelnika, któremu poeta pozwala tłumaczyć dowolnie wszystkie symbole. Jeżeli dodamy do tego nienaturalność tych symbolów i porównań, niemożliwą do odgadnięcia płataninę obrazów i przenosi i dużą dozę pretensjonalności, to będziemy mieli niejaki pojęcie o istocie tej poezji, której twórcy wzorowali się na Baudelaire i Verlaine.

Teoretykiem i „mistrzem“ grupy poetów, nadających sobie nazwę „symbolistów“ jest Jan Moréas. W organie swoim p. t. „Symbolista“ grupa ta ogłosiła wyznanie wiary, z którego prelegent przytoczył charakterystyczne wyjątki.

„Poezja symboliczna, — piszą oni między innem, — wróg nauczania, deklamacyi, czułościowości fałszywej, opisu obiektywnego, usiłuje przybrać myśl w formę dotykającą, która jednakże nie będąc własnym celem, lecz służąc tylko do wyrażania idei, powstała, aby jej być podległą. Pomimo to myśl niepowinna być pozbawiona okazałej togi pokrewieństw zewnętrznych, albowiem główna cecha sztuki symbolicznej polega na niedopuszczaniu nigdy pojęcia myśli samej w sobie. Co do zjawisk, są one tylko pozorami dotykającymi, przeznaczonymi do przedstawiania tajemniczych swoich związków z ideami pierwiastkowymi.“

A inny teoretyk symbolizmu, René Ghil, w pracy swojej p. t. „Traktat o słowie“ wymaga, aby dla stworzenia dzieła sztuki poezja połączyła w sobie retorykę, malarstwo, plastykę i muzykę, tworząc tym sposobem poezję instrumentalną, w której nutami są słowa. Nie poprzestając na tem, Ghil słowa rozbił na głoski, — każda litera ma, zdaniem jego, oprócz dźwięku, barwę i znaczenie symboliczne. Każda spółgłoska odpowiada tonom pewnego instrumentu, każda zaś z samogłosek ma wywoływać wrażenie barwy odrębnej, a mianowicie: *a* — czarnej, *e* — białej, *i* — błękitnej, *o* — czerwonej, wreszcie *u* — żółtej.

Pomijając inne dziwactwa tej teorii, której wyznawcami są we Francji Jan Moréas, Gustaw Kahn, René Ghil, a poniekąd i Jan Richepin, Maurycy Rollinat i inni, — zauważymy tylko, że najdziwniejsze teorie poetyckie nie są w stanie zastąpić siły wyobraźni i potęgi talentu twórczego, których dekadentom i symbolistom francuskim brak w chwili obecnej zupełnie. Lecz z drugiej strony dbają oni bardzo o styl wzorowy, język poprawny, „rym jednobrzmiący i wykuty, jak puklerz, ze złota lub spiżu“ — to też nie można zaprzeczyć, że wywarli pewien dodatni wpływ na wyrobienie formy w poezji.

Że jednak szkoła, do której należy dany poeta, nie w gruncie rzeczy sama przez się nie stanowi, dowiodła grupa symbolistów i dekadentów belgijskich ze znakomitym Maurycem Maeterlinckiem na czele. Dekadenci belgijscy dali cały szereg utworów, owianych technieniem prawdziwego talentu, i dowiedli, że nowy kierunek w poezji dlatego wzbudził jedynie szyderstwo i politowanie we Francji, że przedstawicielami jego są tam ludzie, nie obdarzeni odpowiednimi zdolnościami.

Prelegent zatrzymał się obszerniej nad działalnością twórczą Maurycego Maeterlincka, przytoczył treść kilku jego dramatów i ogólnymi uwagami o poezji zakończył zajmujący swój odczyt. „Poezja nie umarła jeszcze, chociaż od czasu do czasu chroma; odżyje, bo niema dla niej grobu w kresach ducha, bo jest nieśmiertelna.“

Obydwa odczyty p. Pileckiego napisane są językiem barwnym, poetycznym, pełnym pięknych porównań i przenosi. Urozmaicały je i ilustrowały liczne wyjątki z dzieł omawianych przez prelegenta

poetów, w pięknym przekładzie Miriama i Adama M-skiego.

W interesie szerokich kół publiczności, które nie miały sposobności zapoznać się w sali ratuszowej ze studium p. Pileckiego o dekadentach, pragnąc należy, aby autor nie zwłóczył z ogłoszeniem swej pracy w którymś z czasopism lub w dostępnej dla ogółu formie książkowej.

* * *

Dr. Henryk Nussbaum zastanawiał się w pogadance swojej nad stanowiskiem kobiety w społeczeństwie z punktu widzenia przyrodniczego. Właściwie mówiąc, jest to kwestya nieco przebrzmiała. Był czas, gdy przeciwnicy budzącego się wśród kobiet ruchu emancypacyjnego, chcąc powiększyć ilość argumentów, które ruch ten zabić miały w zarodku, mierzyli ciało kobiety i ważyli mózg jej zawzięcie, aby tą drogą wykazać wyższość mężczyzny i wybić z „główek“ niewieścieńskie marzenie o dorównaniu „panu stworzenia“ pod jakimkolwiek względem.

Ale życie zadało prędko kłam ich pracowitym wywodom. Pod wpływem warunków ekonomicznych kobieta musiała rzucić się do pracy samodzielnej i, mimo osławioną „niższość“ swoją, mimo tyłowiekową beczynność, w krótkim stosunkowo czasie zaczęła rywalizować z mężczyzną—i to nie tylko w warsztacie fabrycznym, lub w dziedzinie literatury i sztuki, ale w szpitalach i klinikach lekarskich, ba nawet na profesorskich katedrach. To też przeciwnicy tego żywiołowego niemal ruchu z konieczności spuścić nieco musieli z tonu i innych już dobierają dzisiaj argumentów.

W odczycie swoim dr. Nussbaum nie dowodził bynajmniej niższości kobiety. Szanowny prelegent jest na to przedewszystkiem za grzeczny. Z potoku komplementów i grzeczności, który z ust jego popłynął szeroką falą w stronę „słabszej“ połowy rodu ludzkiego, inną myśl wyłowić nam się za to udało. Kobieta, zdaniem dr. N., nie jest ani wyższą istotą od mężczyzny, ani czemś niższym od niego. Nie może być jednak mowy i o równości jej z „panem stworzenia.“ Na zasadzie szczegółowego porównania układu kostnego obu płci, wykazania różnic fizyologicznych między niemi, porównania wreszcie mózgu kobiety i mężczyzny, prelegent przychodzi do przekonania, że ustrój kobiecy jest całkiem odmienny od męskiego. Z zaakcentowanej w ten sposób różnicy słuchacz czy czytelnik wyprowadza sobie już wniosek, że inna jest sfera zajęć i działalności kobiety, inna mężczyzny, że więc o jakiegokolwiek rywalizacji nie może tutaj być mowy. W wyprowadzaniu wniosków prelegent dopomógł zresztą słuchaczom. Zdaniem jego medycyna n. p. jest zajęciem nieodpowiedniem dla kobiet, którym radzi on przedewszystkiem zwrócić się do pedagogiki. Nie jest zresztą dr. N. przeciwny dopuszczaniu kobiet i do fakultetu medycznego, owszem—rad widzi je na nim, ale tylko w tym celu, aby przekonały się prędzej, że innem jest ich powołanie... Powołanie to, śladem wielu poprzedników swoich, dr. N. widzi przedewszystkiem w małżeństwie. „Człowiek,—mówi on,—ten najpiękniejszy pomysł twórczej natury na ziemi, to nie jest mężczyzna. Człowiek, ten najpiękniejszy pomysł twórczej natury na ziemi, to nie jest kobieta. Człowiek, z woli natury, z woli Boga, to stało, to połączony w życiu, w pracy, w dążeniach, mężczyzna z kobietą pospół.“

W spółce tej jednak mężczyźnie daje prelegent rolę dumnego drogowskazu, opierającego się wiatrom i piorunom, kobiecie zaś każe być tylko wiotką, szerokolistną palemką, której powabowi nie może się oprzeć znużony wędrowiec i.. odpoczywa w jej cieniu. Ponętna rola, — szkoda, że nie wszystkie kobiety pełnić ją mogą... W myśl wywodów powyższych w kobiecie zachwyca prelegenta przedewszystkiem jej słabość i „kobiecość“, jej „ewig Weibliche“, i dla tego też dr. N., wdzięcznym jest cywilizacji, która, zdaniem jego, potęgując różnicę między mężczyzną i kobietą, sprzyja wzrostowi „kobiecości“ w tej ostatniej.

Można by tutaj wtrącić zapytanie, jaką kobietę miał właściwie na myśli szanowny prelegent. Czy egzotyczną roślinę, wyhodowaną w cieplarnianej

atmosferze salonów, której marzenia nie wybiegają po za ich obręb, która rzeczywiście pragnie tylko być ich urokiem i ozdobą,—czy też szare masy pracownic, które mimo wszystkie wywody uczonych teoretyków, z konieczności ciężko pracować muszą na chleb dla siebie i dzieci i wywaleczają sobie, dzięki trudom niezmordowanym, stanowiska niezależne?

Teoretycznej stronie wywodów dr. N. nie jedno również zarzucić by można. Czyż n. p. o stanowisku kobiety w społeczeństwie stanowić ma budowa jej układu kostnego, nie zaś zdolności duchowe? Probierzem dla oceny tych ostatnich była dla prelegenta waga i objętość mózgu kobiecego. Stwierdzając jednak, że mózg kobiety odznacza się mniejszą wagą i objętością od męskiego, dr. N. zwrócił tylko uwagę na wielkości bezwzględne, chociaż w kwestyi tej jedynie wielkości względne, t. j. wyrażające ciężar mózgu w porównaniu z ciężarem całego ciała, mogłyby mieć jakieś znaczenie.

Praktyczne rady prelegenta, mające na celu zniechęcenie kobiet do medycyny, nie trafiają zapewne do przekonania tych, które do zawodu tego czują powołanie prawdziwe. Wywody, wyprowadzone na zasadzie cyfr przeciętnych, nie mogą mieć znaczenia w dziedzinie, w której indywidualne zdolności i usposobienie jednostki stanowią o wszystkim. Życie zresztą dowiodło oddawna, że kobieta może być lekarzem i na stanowisku tem oddawać nieocenione usługi społeczeństwu. Jest to kwestya, w której przed laty dysputowano bardzo szeroko, — fakty jednak w takich razach są argumentem najwymowniejszym, a fakty te nie popierają bynajmniej teorii dr. H. Nussbauma.

Wl. Bukowiński.

Nienawidzę.

NOWELLA.

(Dalszy ciąg).

— Pani na długo tu przyjechała? — zapytał po chwili pan Stefan.

— Na tydzień, — odparła, podnosząc ku niemu żrenice.

— Tylko?

— Osmego Lipca wyjeżdżamy z mamą do Iwonieży, najdalej w poniedziałek muszę wrócić.

Pan Stefan miał ogromną ochotę przysunąć swój taboret do panny Heli, ale się bał, by mu tego za złe nie wzięła, siedział więc tylko zdala i łamał sobie głowę o co by znów zapytać. Co prawda, to pytań miał pełno i w myśli i w sercu, ale wszystkie bardzo niewłaściwe mu się wydały.

— Mama pani zdrowa? — rzekł po chwili.

— Dziękuję. Na reumatyzm tylko od czasu do czasu narzeka.

— Pamiętam i dawniej na to cierpiała!

Kiedy powiedziałszy to, pan Stefan spojrzął na swą ex-narzeczoną, i ją i jego ogniste oblały rumieńce.

— Jak gorąco! — szepnęła panna Hela, chcąc widocznie usprawiedliwić niepożądane kolory.

Pan Stefan też samo zdanie miał na ustach, ale je wstrzymał, bo starsi zbliżyli się właśnie do kanapy.

— A ja powiadam pani dobrodziejce — siadając za stołem, mówił pan Wyżyna, — że, jak Boga Kocham, przepłacony!

— Ależ cóż znowu! najwierniejsza kopia Tycyana — obok gościa miejsce zajmując, odparła pani Zabińska.

— Zawsze kopia, dobrodziejko, a ja gwarantuję, że za te pieniądze kupiłbym oryginał choćby Michała Anioła!

— Buonarottiego! — z pogardliwym odcięciem ust odrzekła pani domu.

— A cóż? potęga! olbrzym!

— Mańkut! — lekceważącym głosem odrzuciła.

— Mańkut, czy nie mańkut, wszystko jedno! A ja pani dobrodziejce mówię, że gdyby Buonarotti

zamiast pędzlem smarować, był poprostu dłutem kuł marmury, to byłby, byłby... no Homerem dla rzeźby!

— A ja powiadam, i mój mąż nieboszyk to samo powtarzał, że Buonarotti nie na ten świat był przeznaczony; tak, wypadkiem tu się dostał, dla tego do wymiaru ludzkich wrażeń zastosować się nie umiał! A wie sąsiad — ciągnęła dalej staruszka, zapalając się — dla czego on w niezem do szczytu nie doszedł? bo się nie kochał, przez całe życie ani razu się nie kochał!

— Ależ dobrodziejko! a Wiktorya Colonna?! — oburzył się pan Wyżyna.

— Mój jegomość, w sześćdziesiątym roku życia na świeżą miłość nikt się nie zdobydzie!

Pan Andrzej zaczął się śmiać.

— Kto wie, pani dobrodziejko, kto wie! świat nieraz na opak idzie, ot, na przykład w tej chwili: my starzy o miłości gadamy, a ci młodzi, słyszałem przed chwilą reumatyzmem się zajmowali!

— Bo też im weselej będzie na dworze! prawda Heluniu?

— Ach! dobrze! — zrywając się z taboretu, zawołała panienka, — chodźmy na spacer!

— Ale może do lasu? — zaproponował pan Stefan — tam cień i chłodno!

— Ano chodźmy, chodźmy, — sięgając po leżący na fortepianie kapelusz, dorzucił pan Wyżyna.

Po chwili całe towarzystwo znalazło się na drodze do lasu.

Panna Hela otworzyła białą parasolkę i wysunęła się naprzód a pan Stefan niezwłocznie za nią podążył. Tu, na powietrzu, wśród zieleni, pod błękitem nieba, jakoś śmielej na siebie spojrzeli.

— Co ten wujaszek opowiadał, że ona nie się nie zmieniła! — myślał sobie młodzieniec — ogromnie wyładniała!

— Jak tu u państwa na wsi prześlicznie! — powiedziała panienka.

— A tak, wieś letnią porą o wiele przyjemniejsza od miasta!

— Pewnie, że tu lepiej żyć!

— At, co to za życie, wegetacja! — rzekł pan Stefan i pogardliwie ruszył ramionami.

— Pan podobno ogromnie pracuje?

— A cóż mam innego robić? Ale jaki tego wszystkiego cel?...

Panna Hela złożyła parasolkę, bo właśnie do lasu wchodzili, a pan Stefan, korzystając z cienia, zdjął popielaty kapelusz i przegarnął dłonią jasną czuprynę.

Jak on się opalił! — pomyślała panna Hela — ale mu z tem bardzo dobrze!

— A pani co robi w domu? — zapytał po chwili milezenia towarzysz.

— Ja? wszystko i nic! — uśmiechnęła się z odrobiną goryczy panienka. — Robię wszystko, aby nie czuć długości dnia, ale nie, coby choć trochę zadowolenie dało...

Pan Stefan uczuł, jak mu się po tych słowach dziwnie błogo zaczyna robić na sercu, to też z wielką czułością spojrzął na nią. Właśnie przechodziła obok jakiegoś niskiego enojaczka, którego igielki chwytając poceżyły haftowaną falbanę jej sukienki. Panna Hela to spostrzegła i, zgarnawszy fałdy sukni na bok, ręką je uniosła.

— Pani parasoleczka przeszkadza! może ją potrzymać? — skwapliwie ofiarował się młody człowiek.

— Jeżeli pan łaskaw. Las coraz gęstszy, a te krzaczki tak się sukni czepiają!

Pan Stefan wziął podaną sobie parasolkę i zaczął oglądać. Kościaną jej rączkę ze złotym monogramem znał oddawna.

— Ta parasolka to była dawniej ponsową materią pokryta! — rzekł półgłosem, jakby do siebie.

Panna Hela uśmiechnęła się, że nie słyszy, pobiegła kilka kroków naprzód i zawołała:

— Ach! jak tu dużo poziomek!

— Może pani nazbierać?

I wnet zaczęły zrywać poziomki z długimi korzonkami i układali z nich bukieciki.

A pan Wyżyna z panią Zabińską, wzięwszy się pod ręce, maszerowali za młodymi, rozprawiając o swych podróżach po Europie.

— A pamięta pani dobrodziejka, jakeśmy to się zjechali niespodziewanie w Padwie?

— Pamiętam doskonale! Mąż mój nieboszczyk miał wtedy studiować padewską szkołę!

— I nie żałował chyba później tych studiów, bo że celował w rysunku, to tylko wzorom tamtejszym winien. Już to co słuszne, to słuszne, pani dobrodziejko, ale że florencka i padewska prym trzymają we wszystkich szkołach włoskich, to każdy przyzna!

— Ależ koloryt! koloryt! — oburzyła się pani Żabińska, — jakież one mają koloryt! Ani się umywa do weneckiego!

— Kiedyż bo pani dobrodziejko, to zawsze do tej Weneccji zawrócić musil!

— A jegomość, to znów jakby na daltonizm cierpiał, kolorytu weneckiego ocenić nie potrafi!

— Co mi tam wenecki koloryt! Castagno, choć Florentczyk, a ma taki sam!

— A niechże mi sąsiad tego zbrodniarza nie wspomina! Ma on koloryt, ma, ale po niego aż zamordowaniem weneckiego Dominika sięgnął! Zdrajca! Judasz!

— Pani dobrodziejko, to i w weneckiej szkole nie sami święci! A Bellini? Za panka się przebiegał, kazał portret swój malować Antoniowi, byle w pracowni jego choć parę godzin posiedzieć i wykraść od mistrza tajemnicę barwnego malowania! Bogiem a prawdą, to ten cały, przez sąsiadkę ubóstwiany, koloryt wenecki, podstępnie flandryjskiej szkole zabrany! Ot, co! złodziejstwo poprostu!

— Zawsze co kradzież, to nie mord!

— I to grzech i to grzech!

— Ale nie równy! — broniła swego pani Żabińska.

— To tam, moja dobrodziejko, Pan Bóg rozsądził!

— Już rozsądził: „Nie zabijaj!” to piąte przykazanie, a „Nie kradnij!” to dopiero siódme...

— A! to niby tak idzie *diminuendo*, co do ważności grzechu? Nie wiedziałem, nie wiedziałem!

I pan Wyżyna zaczął się śmiać.

— Ech! kto by tam z jegomością do ładu doszedł! — oburzyła się pani Żabińska i, wysunąwszy rękę z pod ramienia swego towarzysza, postępowała przez chwilę zdala od niego.

A młodzi tymczasem doszli do skraju lasu. Szeroko roztoczyła się przed nimi ziemia, zamknięta błękitną kopułą sklepienia. Nawprost ich oczu, za polami, zpośród kępy wysokich drzew strzelała w górę biała wieżyczka domku wiejskiego.

— Ach! co to za śliczny dworek! — z zachwytem zawołała panna Hela.

— To Borezyn! — odpowiedział z niekłamną radością jego właściciel.

Paniąka umilkła, ale za to bardzo pilnie przyglądać się poczęła dworowi.

I starsi wyszli już z lasu.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— P. Marya Kamińska zwróciła się listownie do redakcji naszego pisma w sprawie kwesty zakładania przez właścicieli dóbr po wsiach i małych miasteczkach sklepów, które nie tylko przynosiłyby im korzyść, ale broniłyby lud wiejski od wyzysku małościastekowych, nie dość sumiennych spekulantów. W okolicy którą zamieszkuje korespondentka, istnieje jeden tylko sklep taki a przynosi on jego właścicielowi zysk znaczny, bo około tysiąca rubli. Wprawdzie położenie w którym się mieści jest wyjątkowo dobre, bo jest tu kościół z ludną

i zamożną parafią, jest kancelarya sądu gminnego. Sklep zaopatrzony jest w towar sprowadzony z Warszawy i to w różnego rodzaju przedmioty, tak na potrzeby domowe jak i towary łocikowe, oraz tym podobne; sklepowa jest kobieta uczciwa i odpowiednio do zajęcia swego uzdolniona, przecież właścicielka zagląda często do sklepu, który jest niezbyt oddalony ode dworu a zysk, który przynosi ma już pewne znaczenie swoje w dochodach rodziny.

— W d. 15 kwietnia miała być otwartą w Towarzystwie Ogrodniczym wystawa sezonowa z konkursem, obejmująca nowalje warzywnicze i kwiaty. Wystawa nie doszła do skutku dla braku wystawców i trzeba tu obwinić panie ziemianki, do których należy zajęcia się ogrodem, mogącym dawać korzyści niemałe, nie tylko w zakresie potrzeb domowych ale i na zbyt. Są panie, którym dochód z ogrodu pozwala przyłożyć się w części poważnej do pokrycia wydatków na edukację dzieci i jedna z takich, p. M. M., zamieszkująca okolice Sandomierza, pokryła wydatki wykształcenia kilku córek dochodem z ogrodu.

— Grono ziemian z okolic Pińczowa powzięło zamiar założenia wspólnej suszarni cykoryi, do której dostarczali by tego produktu okoliczni ziemianie. Ze cykorya należy do tych ogrodnictw, które przypadają na dział zajęcia się kobiety, przedstawia to zatem paniom naszym ważną gałąź pracy korzystnej.

— Gazeta Polska, oraz „Kurjer Warszawski” podniosły w łamach swoich myśl poczeiwie dobroczynną urządzenia wakaeyi dla szwaczek i zapisy już się rozpoczęły, jak to pismo nasze już donosiło wykazując, że będzie to ze wzajemną dla obu stron korzyścią, bo zapracowane robotnice odetchną powietrzem świeżem, a panie ziemianki znajdą pod ręką pomoc dla zaspokojenia pewnych potrzeb domowego gospodarstwa kobiety ze znacznym względem na oszczędność.

— W gronie młodych ziemianek powstał projekt zwiedzenia kilku wzorowych gospodarstw kobiecych, które mogą być wzorem tak postępu w pewnych gałęziach tego gospodarstwa, jak i wykazania już dowodnego, czego może dokonać praca połączona ze znajomością rzeczy. Wytworzyło się też zdanie, że młode, mniej doświadczone w tym zawodzie osoby, mogły by się kształcić tym sposobem tak, jak młodzież męska odbywając praktykę w domach tych pań pracowitych, które podniosły domowe gospodarstwo niewiele tak przez nowe wiadomości, jak i pracowitość.

— Międzynarodowy kongres kobiecy w Paryżu zakończył swoje obrady. Dzienniki paryżkie zaznaczają że nie zgromadził on bynajmniej kobiet odznaczających się wyższą nauką ani działalnością społeczną. Obrady były nieraz bardzo gorące z powodu, że pewna cząstka umiarkowanych i oświeconych kobiet, znających przeznaczenie niewieście w społeczeństwie, zbijała szalone dążenia do tak zwanej równości kobiety z mężczyzną. Kongres miewał w dniach ostatnich po dwa posiedzenia codziennie w skutek wielkiej liczby zapisanych do głosu. Niemka, Köthe Schirmacher, zapowiedziała międzynarodowy kongres kobiecy, który się ma otworzyć w Berlinie d. 19 września a trwać do d. 27 tegoż miesiąca. Roztrząsano obok tego ważne kwestye praw i obowiązków kobiety matki a rozprawy te były bardzo burzliwe. Żądano aby państwo dawało opiekę matkom niezamożnym, bo wychowają one krajowi obywateli, więc wychowanie należy uważać za czynność społeczną. D-r Pioger podniósł głos rozbierając ze stanowiska higieny pracę kobiet w fabrykach. Dzienniki paryżkie wykazały że delegatki niezupełnie znają kodeks cywilny i inne prawa przeciwko którym walczą.

— Zarząd miejski upoważnionym został do nabycia za sumę 6,375 rs. maszyn i przyrządów potrzebnych do ujejskiego laboratorium mechanicznego, którego zadaniem będzie wykonywanie wszelkich prób trwałości i dobroci metalów, oraz materiałów budowlanych.

— Komitet kolonii letnich uzyskał pozwolenie bezpłatnego przejazdu w pociągach kolejowych.

— Otwarcie Schronienia dla dzieci ubogich rodziców, którzy pracując na utrzymanie rodziny muszą szukać pracy po za domem, odbyło się w zeszłą niedzielę po południu.

— Na posiedzeniu zarządu wystawy higienicznej ustanowiono cenę biletów na 30 kop.; dzieci i uczniowie zakładów naukowych płacić będą połowę. Na wniosek sekcji fizyczno-chemicznej ma być urządzony na placu wystawy pokój ciemny dla prób i zdjęć fotograficznych. Bilans kasy przedstawiał po dzień ostatni ubiegłego miesiąca 15,000 r. dochodu a około 12,000 rs. rozchodu.

— Dyorama Starej Warszawy przeznaczona na wystawę higieniczną bardzo żywo się posuwa. Artysta wyższego w sztuce swojej znaczenia, St. Jasiński, wziął tu za temat plac Starego Miasta z charakterystycznymi budynkami wedle wzorów pozostałych z przeszłego wieku.

— Zmarły w Krakowie D-r Zieleniecki obok dwóch legatów głównych po 100,000 zł. reń. na fundację edukacyjną dla potomków rodziny swojej, oraz na koszt dostarczania wody z wodociągów dla szkół ludowych, szpitali i ochron, przeznaczył dla Akademii Umiejętności 10,000 zł. reń. na nagrody za prace naukowe i po 500 zł. reń., dla trzech miejscowych zakładów dobroczynnych.

— We Lwowie wygłoszoną została wstępna pogadanka pedagogiczna, na którą zebrali się wszyscy pedagogowie, oraz osoby pojmujące znaczenie wychowania. Kwestyą przedstawiało zagadnienie jak uczniowie szkół średnich spędzać mają czas wolny od nauki? Podniesiono myśl utworzenia związku rodzicielskiego, w którym dano by młodzieży oprócz krzewienia uczuć koleżeństwa i ducha towarzyskości, sposobność czytania, deklamacji, śpiewu, tańca, gimnastyki i szermierki, rozwijając zarazem i talent malarski, oraz rzeźbiarski. Wynikła z tego gorąca dyskusya, następna pogadanka będzie wkrótce wygłoszoną.

— Raut historyczny odbył się we Lwowie w d. 18 kwietnia podczas jarmarku na Ś-tą Agnieszkę, a zgromadził przeszło tysiąc osób. Bilet kosztował 5 zł. reń., lecz dodać należy że dochód przeznaczony jest na budowę własnego domu Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów, malarzy i rzeźbiarzy, które się właśnie zawiązało. Udekorowanie sali pozostało przez dni kilkanaście a zwiedzaniem było licznie przy dźwiękach muzyki. Obszerny przedpokój obity był w całości starymi makatami a obok tego widz oglądał niewielką salę w stylu archaicznym a wśród tego Lwowa z XVII wieku przesunął się około godziny 11 wspaniały pochód w kostiumach owego wieku jakoby podczas jarmarku na Ś-tą Agnieszkę, oraz rycerzy w zbrojach owego czasu. Składało go sto kilkadziesiąt osób, które przy dźwiękach poloneza sunęły się wspaniale, powoli.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: ark. 12-ty powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Stanisław Jachowicz, przez M. I. — Pogawędka, przez ?? — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Odczyty, przez Wł. Bukowińskiego. — Nienawidzę. Nowella (dalszy ciąg). — **Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.** **Dodatek obejmuje:** **Walka serca**, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 12-ty. — Przegląd mód. 40 wzorów i robót z opisem. **Sekrety gospodarskie.** — Dyspozycja stołu.